

Esej wspomnieniowy: „Mój rok 1979, czyli też obóz, ale naukowy. W Bieszczadach.

[Fragmentsy]

[...]

Tym razem, bazując na moich „zasługach” dla Operacji „Bieszczady-40”, postanowiłem zakwaterować grupę mojego studenckiego obozu naukowego w łódzkiej stacji, u podnóża Połoniny Caryńskiej, gdzie przed czterema laty kierowałem pionierskim dla łodzian turnusem tej „Operacji”. Władza harcerska ofertę przyjęła – musiało jeszcze powstać dobre „alibi”, czyli temat naukowy obozu, uzasadniający lokalizację tego przedsięwzięcia właśnie tam. Z tym nie miałem najmniejszych trudności – już wtedy interesowałem się (zainspirowany pracą A. Kamińskiego „Samorząd młodzieży jako metoda wychowawcza”) samorządnością. Temat sformułowałem więc krótko i treściwie: „Samorządność harcerzy w Operacji „Bieszczady 40”.

Projekt ten był w swym pomysle bardzo atrakcyjny – nie wiedziałem tylko, czy będzie on tak samo odebrany przez ewentualnych studentów-uczestników, a także czy władze uniwersyteckie zgodzą się na poniesienie większych niż zazwyczaj kosztów – tym razem prawie cztero- a nie jak to było dotąd w standardzie - dwutygodniowego obozu.

Po pozytywnym rozwiązaniu tego ostatniego problemu pozostało mi już tylko ogłosić nabór uczestników. W tym miejscu muszę przypomnieć, że od trzech lat, decyzją ówczesnego ministerstwa oświaty, wakacje letnie w szkołach całej Polski rozpoczynały się w drugim tygodniu czerwca i kończyły się w ostatnim dniu przed pierwszym dniem roboczym, wypadającym po 20 sierpnia. Oznaczało to, że pierwsze turnusy kolonii i obozów zaczynały się i kończyły około dwa tygodnie wcześniej, niż miało to miejsce przed tą decyzją, i niż jest to teraz.

Był to pewien problem, gdyż tradycyjnie studenckie obozy naukowe organizowane były we wrześniu, gdyż w czerwcu trwała jeszcze sesja egzaminacyjna... I był jeszcze jeden, najważniejszy szkopuł: mój projekt polegał nie tylko na prowadzeniu badań sondażowych (ankieta), ale także na zastosowaniu techniki obserwacji uczestniczącej. A to znaczyło, że grupa studencka będzie uczestniczyła w obozie generalnie na takich samych zasadach, jak pozostali uczestnicy, w tym także jako osoby, występujące w oficjalnych okolicznościach w mundurkach harcerskich.

Przy takich założeniach jedynym sposobem rekrutacji na tak nietypowy obóz byłaby zasada „na ochotnika”, to znaczy kandydatki i kandydaci, znając wcześniej wszystkie nietypowe okoliczności i warunki uczestnictwa, zgłaszali się z własnej inicjatywy, deklarując, że są gotowi spełnić te wymogi.

Dziś już nie pamiętam dokładnie dat rozpoczęcia i zakończenia tego obozu – wiem, że na pewno był to pierwszy turnus, że jego organizatorem był pabianicki Hufiec ZHP, że dojechaliśmy w Bieszczady razem z pozostałymi harcerzami pociągiem kolonijnym, a później zostaliśmy dowiezieni na teren stacji podstawionymi autokarami.

Dzięki zachowanej fotografii dziś mogę, bez ryzyka pomyłki, podać, że nasza studencka grupa liczyła 14 osób. Tradycyjnie dla kierunków pedagogicznych, była zdominowana przez dziewczyny. Trzeci od prawej stoję ja – st. asystent-kierownik obozu naukowego, hm. Włodzisław Kuzitowicz. Przypadek sprawił, że dwie pierwsze osoby w rzędzie stojących (z lewej strony), to osoby, z którymi miałem później kilkuletnie kontakty, jeszcze długo po ukończeniu przez nich studiów.

Ten brodaty młodzieniec nazywa się Jacek Lesiów i to właśnie jego po kilku latach (szukał wtedy pracy) zarekomendowałem dyrektorowi III PMOW w Łodzi, gdzie wówczas byłem zatrudniony

jako wychowawca, aby i jego także zatrudnił na wakujące wówczas, analogiczne, stanowisko. Przez parę lat, póki ja nie przeszedłem do łódzkiego ODN-u, byliśmy kolegami z pracy.

Natomiast stojąca obok niewysoka dziewczyna z długimi włosami to Ania – wówczas nosiła jeszcze nazwisko Walczak. I to właśnie do niej (i z całego żeńskiego grona tylko do niej) przyjechał w odwiedziny jej chłopak – Krzysztof Burchard, wtedy także student, tyle że leśnictwa, w Poznaniu. Już samym faktem, że ją tam – na tym bieszczadzkiem odludziu – odnalazł, że samodzielnie pokonał wszystkie trudności komunikacyjne, że pieszo przeszedł kilkanaście kilometrów od najbliższego przystanku PKS, wzbudził mój podziw i sympatię... Gdy dowiedziałem się, że chciałby pobyc z Anią (i całą grupą, oczywiście) kilka dni – „załatwiłem” u komendanta stanicznej zgodę na jego pobyt, pod warunkiem, że... że to ja rozwiążę problem jego noclegów. Problem polegał na tym, że na obozie nie było już żadnych możliwości zakwaterowania. Jedyne co mogłem uczynić, to poprosić kwatermistrza o jakieś wolne łóżko składane (tzw. „kanadyjkę”) z materacem i kocem, które wstawiliśmy do... mojego namiotu. A gdy Krzysztof po kilku dniach opuszczał stanicę i chcąc zapłacić za wyżywienie (bo przez cały okres pobytu jadał z nami wszystkie posiłki) poszedł (w moim towarzystwie) w tym celu do komendanta stanicznej, usłyszał, że finanse obozu z tego powodu nie zbankrutują, a on nie będzie „zarabiał” na biednym studencie.

Fotka zaproszenie

Oboje – Ania i Krzysiek, nie zapomnieli mi tej przysługi. Po paru latach dostałem od nich zaproszenie na ślub i wesele (podziękowałem, lecz nie skorzystałem), zaś przez kolejne lata, wraz z moją żoną i synkiem, byliśmy zapraszani do państwa Burchardów, gdy już zamieszkali razem w Poddębicach, gdzie Krzysztof został wicenasadleśniczym, a Ania podjęła pracę w miejscowej poradni wychowawczo-zawodowej.

Ale wróćmy do sedna naszego pobytu w Bieszczadach, czyli do badań terenowych samorządności harcerskiej. Pierwszy tydzień przeminął na przybliżaniu młodym adeptom środowiskowych badań pedagogicznych tajników stosowanych w takich przypadkach technik badawczych. W tym pogoda nam nie przeszkadzała. Bo muszę od razu zaznaczyć, że prawie przez cały czas naszego tam pobytu nie było dnia, aby nie padał deszcz. Jeśli nie przez cały dzień, to wieczorem, rankiem, albo nocą... Praktycznie jedyny, piękny słoneczny dzień zdarzył się... na kilka dni przed końcem obozu – była to była sobota, 14 lipca. Dlaczego o tym fakcie tak precyzyjnie do dziś pamiętam – wyjaśnię już wkrótce.

A teraz do rzeczy. Warunki atmosferyczne w dużym stopniu pokrzyżowały moje plany badawcze w terenie. Nie mając środka transportu byliśmy skazani na prowadzenie badań ankietowych jedynie w pobliskich stanicach, do których można było dotrzeć pieszo – górkami drózkami lub szlakiem turystycznym. I właśnie owa deszczowa aura spowodowała, że taki wypad okazał się możliwy jedynie do nieodległej gdańskiej stanicznej w Nasicznym. Trzeba było zredukować plany i skoncentrować się na – można by to określić – paramonografii harcerskiej samorządności – na naszej stanicznej.

Już po kilku dniach okazało się dla nas oczywiste, że owa samorządność jest jedynie ideologicznie poprawnym parawanem, przykrywką, kamuflażem, mającym za zadanie stworzenie pozorów udziału „mas harcerskich” w działaniach, zaprogramowanych w „centrali”, którą w sprawach strategicznych wówczas nie była nawet Główna Kwatera ZHP, a określona komórka w Komitecie Centralnym PZPR. Krotko mówiąc – był to taki teatrzyk dla maluczkich, aby stworzyć im złudzenie współuczestniczenia w „wielkim dziele” zagospodarowywania terenów wyludnionych po

przymusowych deportacjach rdzennej ludności w ramach Akcji „Wisła”. A wszystko to w atrakcyjnej formule Operacji „Bieszczady 40”, która miała być wkładem ZHP w uroczyste obchody 40-lecia Polski Ludowej.

Pojąwszy faktyczną bezprzedmiotowość istoty naszej założonej ćwiczebno-badawczej pracy, bez większego żalu zajmowaliśmy się tym, co oferowały nam bieszczadzkie „okoliczności przyrody”. Aż do owej daty 14 lipca, kiedy to od rana nie było chmurki na niebie, a słońce przez cały dzień pięknie przygrzewało. Niestety – nie mogliśmy, jak zresztą i inni uczestnicy ze wszystkich stanic Operacji „Bieszczady 40”, w spokoju oddać się suszeniu przemoczonej odzieży i zawilgoconych koców. Bo właśnie tego dnia nawiedził Bieszczady sam I sekretarz KC PZPR, towarzysz Edward Gierek. Że to mi się nie przyśniło, że tego nie wymyśliłem dla potrzeb tego eseju, niechaj zaświadczy ta fotografia głównego organu owej partii – „Trybuny Ludu” – wydanie z poniedziałku 16 lipca 1979 roku: [...]

Kilka dni po owym spędzie skończył się czas naszego obozowania. Tak jak tam dojechaliśmy – tak i powróciliśmy do Łodzi. Nie podejmuję się, po 40-u latach, merytorycznej analizy tego obozu naukowego. Pamiętam jedynie to, co już wcześniej napisałem, że owa samorządność okazała się jedynie przykrywką, kamuflażem, mającym za zadanie stworzenie pozorów udziału „mas harcerskich” w działaniach, tak naprawdę zaprogramowanych w „centrali”. Ów obóz dał jego uczestnikom możliwość – mimo wszystkich przeszkód – poznania niektórych narzędzi badań społecznych, ale przede wszystkim stał się znakomitym miejscem obserwowania rozkładu systemu „demokracji ludowej”, dyktatury monopartii – PZPR, fasadowości i – tak naprawdę – nieskuteczności oficjalnego systemu wychowania. [...]

Źródło: <http://obserwatoriumedukacji.pl/esej-wspomnieniowy-moj-rok-1979-czyli-tez-oboz-ale-naukowy-w-bieszczadach/>